



Iwona
Berezowska

W
CIENIU
TYRANA

© Copyright by Iwona Berezowska 2005

ISBN 978-83-7564-308-4

Wydawnictwo My Book

www.mybook.pl

Publikacja chroniona prawem autorskim.

Zabrania się jej kopiowania, publicznego udostępniania w Internecie
oraz odsprzedaży bez zgody Wydawcy.

Iwona Berezowska

W CIENIU TYRANA



MOTTO:

**Każdy jest kowalem własnego szczęścia,
tylko nieraz za późno się o tym dowiaduje**

*Dla wszystkich chorych,
aby nie stracili wiary w siebie*

WSTĘP

Historia ta miała miejsce naprawdę, jestem główną bohaterką opisywanych wydarzeń.

Jest to opowieść o kimś, kto nie chciał zostać dożgonnie ofiarą choroby ani swoich najbliższych. Bohaterka, odrzucona i zdradzana latami przez męża, nie załamała się, wzięła życie w swoje ręce. Mimo wielu zewnętrznych naporów, mimo tego, że najbliższy człowiek kładł jej kłody pod nogi, wytrzymała, dzielnie krocząc do przodu. Będąc osobą o silnym charakterze, nigdy nie poddawała się za szybko. Walczyła do końca o swoje prawo do normalnego życia mimo ciężkiej, nieuleczalnej choroby.

Książkę tę napisałam bardzo prostym językiem, bez wyszukanych słów. Moim celem jest ukazanie ludziom, że każdy sam powinien pokierować swoim życiem, nie dać się zastraszać, nie bać się, a przede wszystkim nie załamywać się. Trzeba walczyć do końca mimo wielu przeszkód. Mimo że nieraz nie ma wyjścia, trzeba próbować, trzeba iść dalej, chociaż w oczy wieje prawdziwy huragan. Jeżeli nikt nie chce ci pomóc, musisz to zrobić sam. Ja, pomimo ciężkiej choroby, bardzo osłabionego organizmu po wielu operacjach, praktycznie bez środków do życia, odeszłam od męża. Nie patrzyłam już na nic, chciałam tylko odzyskać swój spokój i żyć jak normalny człowiek. Chociaż własny mąż postawił na mnie krzyżyk, nie wystraszyłam się, zakasałam rękawy i zabrałam się ostro do roboty. Chciałam pokazać ludzkie zakłamanie i obłudę. Moja opowieść jest przykładem, że kłamstwa i nieuczciwość prowadzą donikąd.

* * *

Kochać, dla mnie zawsze znaczyło dawać. Tak zawsze rozumiałam miłość, dawać ze swojego wnętrza wszystko to, co najlepsze dla kogoś, kogo się naprawdę kocha. Uczucie odgrywało dużą rolę w moim życiu. Było jak pokarm. Sama od siebie dawałam co najlepsze i to samo pragnęłam dostać z powrotem od losu. Wiele wymagałam od ludzi, ale jeszcze więcej od siebie. Dlatego więcej dawałam niż brałam. Przecież nie żyjemy tylko dla siebie. Dawać to znaczy wziąć od siebie i obdarować drugą osobę, tym bardziej, jeśli z nią mieszkasz i żyjesz. Gdy się kogoś kocha, to i szanuje, docenia się to, co robi dla ciebie. Przede wszystkim trzeba odwzajemniać dobro dobrem. W zasadzie takie to wszystko banalne, a jednak takie trudne do wykonania dla wielu ludzi. Gdy kochasz, bierzesz pod uwagę potrzeby tego jedyne go dla ciebie człowieka, nieraz często zapominając o sobie.

Ja niestety byłam taką osobą, która dała z siebie wszystko dla innych – cały swój czas, całe zdrowie, wszystko, co miałam najcenniejsze. Poświęcałam każdą godzinę i minutę dla ludzi mi bliskich, ale wyrachowanych i kłamców. Pogrzebałam siebie dla innych, zaspakajałam ich zachcianki, o sobie po prostu zapominałam. Te wszystkie wyrzeczenia przyplaciłam ciężką chorobą. Potraktowano mnie jak śmieć, zdeptano, zdołowano, wyrzucono jak niepotrzebny paperek do kosza. Tak postąpiono ze mną w rodzinie męża, odrzucono mnie, bo nie pasowałam do nich. Dopóki zgadzałam się ze wszystkim, co oni dyktowali, było w miarę dobrze, ale i to się nie podobało, że podzielałam ich zdanie. Szukali dziury w całym, sami nie wiedzieli, czego chcą. Ustępowałam im we wszystkim. W końcu, czy się z nimi zgadzałam, czy nie, wszystko było im nie w smak.

Musiałam tę całą sytuację opisać – przecież kiedyś prawda musiała wyjść na wierzch. Nie można całe życie żyć w kłamstwach. Obiecałam kiedyś mężowi, że to, co tak tań, ujrzy światło dzienne. Po latach dotrzymałam słowa.

Oczywiście, każdy człowiek ma w życiu do opowiedzenia jakąś historię. Ja swoją musiałam też opowiedzieć. Chciałam pokazać innym, co przeżyłam będąc naprawdę ciężko chorą osobą, taką, której nikt z rodziny męża nigdy nie współczuł, odwrotnie, wymagano ode mnie największych poświęceń. Byłam dziewczyną na posyłki. Wyciskano ze mnie ostatnie soki, jak wyciska się cytrynę. A potem na końcu chciano wy-

rzucić, jak tę skórkę z tej cytryny. Dopóki soki szły, wyciskano mnie bez serca. Kiedy sok przestawał lecieć, bo się zbuntowałam, wściekali się okropnie. Walczyli tylko o to, żeby im było dobrze. Bali się suszy. Wiedzieli, że gdy zabraknie dopływów, będzie tragedia. Ich nie interesowało moje zdrowie, tylko własne zachcianki. Dopóki mąż miał pieniądze i nimi rządził, było jako tako. Dopóki w ogóle udawało mu się wszystkich do swoich stóp rzucać – był zadowolony. Gdy nie, wrzeszczał i wściekał się bez powodu. Tyranizował wszystkich wokół. Bał się, że nadejdzie czas, gdy będzie musiał się innym podporządkować. Nigdy się nie chciał poddać. Jego miało być zawsze na górze. Obojętnie, czy nawet miałby życie stracić, miało być tak, jak on zaplanował. On nie kochał życia, on nie kochał nigdy nikogo, nawet siebie. To, co działo się wokół niego i wokół nas, przerastało mnie, nie mogłam sobie z tą całą sytuacją poradzić. Nie miałam już siły pomagać komuś, kto chciał być cały czas w samym środku zainteresowania. Nie bawiło mnie już kłamanie na jego konto. Musiałam wyhamować, bo bym zwariowała. Dla niego robienie komuś krzywdy było igraszką. Odczuwał największe zadowolenie wyrządzając innym ból. Było to jak balsam dla niego, gdy ktoś płakał. Wtedy dopiero pastwił się podwójnie. Lubił, gdy cały czas coś się koło niego działo. Jak nie wydzwaniał po ludziach, to zapraszał do siebie. Cały czas musiał być w ruchu. Był to bardzo niespokojny typ. Nie dawał nikomu spokoju. Gdy widział, że jest spokój, zaraz się postarał, żeby go nie było. Wszędzie wlaził bez pytania, jak zły duch. Bezcelnie ingerował w prywatne życie innych. Nie miał ani za grosz obycia. Nie miał żadnego wyczucia, jak trzeba się zachować. Było to straszne, gdy o tym pomyślę. Widocznie i tacy ludzie muszą być na świecie, żeby się inni nie nudzili. A ja na nudy niestety nie narzekałam. To była gehenna. To były smutne lata w cieniu tyrana.

Zawsze uważałam, że pierwszym warunkiem do szczęścia powinien być rozsądek. Niestety, mąż go nie miał ani na lekarstwo. Przykro to mówić, ale był naprawdę głupim człowiekiem. Całe lata byłam tylko wredną babą dla niego. Nie zasługiwałam na ani jedno dobre słowo. Tłumaczyłam sobie potem, że od niego nie można się niczego już dobrego spodziewać. No i tak było. Nikt nie mógł od niego niczego dobrego oczekiwać. Nawet własny syn też nic miłego od ojca nie usłyszał. Wreszcie definitywnie postanowiliśmy zostać sami. Po latach chcieli-

śmy mieć przy sobie kogoś, kto by nas szanował i doceniał. Byliśmy pewni, że z tym człowiekiem dalej żyć nie można. Całe życie z nim mijało się z celem. Przy nim baliśmy się mieć jakiegokolwiek marzenia. Wszystko było wzbroniane. Straciliśmy sens życia. Nie mieliśmy żadnego celu, żadnej motywacji. Nigdy nie traktował nas poważnie. Zawsze nas wyśmiewał. Robił z nas naprawdę ludzi bez pojęcia i wyobraźni. A my nie byliśmy tacy i dlatego się buntowaliśmy. Walczyliśmy latami o swoje normalne, ludzkie prawa. Nigdy nie chciał czegoś z nami wspólnie zrobić. Wszystko robił nam na złość. Śmiał się z naszych problemów. Gwizdał z radości, gdy mieliśmy zmartwienia. W niczym nie chciał nam pomagać. Męczyło go nasze towarzystwo. Niestety, jego nas też potem męczyło. Myśmy tego nie pokazywali. On natomiast na każdym kroku mówił, jak mu ciężko z nami. W końcu musieliśmy przerwać tę jego złą passę. Chcieliśmy aby zaczął spokojnie i szczęśliwie bez nas żyć. Miał ku temu pełne prawo.

W miarę upływu lat człowiek zaczyna się zastanawiać nad swoim życiem, co można by było zmienić na lepsze, czego nie robić, a co robić. W zasadzie każdy chce polepszyć sobie swój byt, to chyba logiczne, tak samo i ja zaczęłam szukać drogi wyjścia z tej beznadziejnej dla mnie sytuacji. Wiedziałam, że tak dalej żyć nie mogę. Traktowana byłam w domu przez własnego męża jak zło konieczne. Skoro już jestem, to ewentualnie mogę być, ale pod warunkiem całkowitego podporządkowania się jemu. Bez prawa odezwania się, bez zadawania pytań, obojętnie, czy on będzie dobrze, czy źle robić, wolno mi go tylko co najwyżej chwalić. Jego zdaniem, tylko on ze swoją najlepszą doradczynią, matką, robili wszystko zawsze idealnie. Tylko oni na świecie pracowali, nikt inny. Reszta to lenie i obiboki. Nikt nie miał prawa zrobić czegoś lepiej niż oni, a jeżeli się to komuś udało, od razu zostawał największym wrogiem. Był od razu wyśmiany, niszczoney. W końcu wychodziło, że nikt nic nie zrobił, a jeżeli już, to z ich pomocą. Ich celem było niszczenie ludzi dobrych, wrażliwych, dla nich ludzie o dobrym sercu to byli idioci. Ludzi dobrych nazywali chorymi na mózg! Tak zachowywała się moja teściowa i mój mąż. Reszta rodziny potem też.

To, co powiedziała moja teściowa, było tak i amen, następnie wszystko powtarzał za nią mój mąż, i na odwrót, co mąż wymyślił, powtarzała ona. Dla mnie to wszystko było na początku takie dziwne, że

nie wiedziałam, co mam mówić, a że nie miałam prawa się odzywać, to patrzyłam na to z boku, ale też do czasu. Wszystkie zachcianki matki były realizowane na bieżąco przez męża. Nie zastanawiał się, że krzywdzi przy tym rodzinę, że okrada swoich najbliższych. Nie zastanawiał się nad żadnym wypowiedzianym słowem, ranił mnie codziennie. Dla niego liczyło się tylko to, co inni ludzie o nim powiedzą. Wszystkim się podlizywał, żeby dobrze o nim mówiono, nie zwracając uwagi, że traci najbliższych. Mąż pokazał już od początku, kim jest. Był tyranem bez serca i wyobraźni, pozbawionym ludzkich normalnych odruchów. Dla niego liczyła się tylko siła, przemoc i chamstwo. Myślał, że człowiek brutalny ma szansę przetrwania. Długo mu się to udawało, bo już zaraz po ślubie pokazywał, co potrafi.

Niestety temu, że tak właśnie potoczyło się moje życie, jestem sama winna. Mąż przed ślubem pracował w kawiarni jako kucharz i tak jak wszędzie, z nikim nie mógł się zgodzić. Nic się nie podobało, wszystkim chciał narzucać swoją wolę. Nawet kierownikowi kawiarni dyktował, co ma robić. Nie mógł znieść, że ktoś wydaje mu polecenia lub coś objaśnia, jak co ma robić. Pewnego wieczoru doszło do nieporozumienia między kierownikiem a mężem. Mąż był już po pracy, siedział za barem i pił alkohol. A że po wypiciu był bardzo odważny, zaczął się awanturować, wyzywając kierownika i innych w lokalu. W zasadzie wszyscy siedzący i pracownicy byli już wstawieni i zaczęła się szarpanina. Kierownik wyprosił grzecznie męża za drzwi i prosił go, żeby się uspokoił. Ten jednak nie miał zamiaru opuścić lokalu, zaczął dobijać się do drzwi, kopiąc w szybę i wygrażając wszystkim, że im pokaże. Musiano go wyprowadzić na zewnątrz, wzywając dodatkowo policję. Sytuacja była niewesoła. Jak mi potem opowiadano, mąż był tak agresywny, że wszyscy się go bali. Wyglądał, jakby szatan wstąpił do niego: zamroczony od alkoholu, z pianą na ustach, łamał krzesła w lokalu. Gdy znalazł się już na zewnątrz, myślał, że kierownik stoi przy nim i się z niego śmieje. Owszem stał, ale za wielką szybą i czekał na przyjazd policji, bo sam się bał. Mąż, nie widząc szyby, chciał go uderzyć i wałną całą siłą w grube, półcentymetrowe szkło. Ręka została unieruchomiona w szybie, ale mąż na siłę ją wyciągnął i zaczął uciekać do mnie do domu. W międzyczasie na miejsce przyjechała już policja. Gdy stróże prawa zobaczyli uciekającego, wyruszyli w pościg za nim gazikiem policyjnym. Mąż (wtedy jeszcze przyszedł) mimo wielkiej szarpanej rany, gdzie

krw się lała strumieniem, uciekał, że nawet gazikiem policja nie mogła go dogonić. Już wówczas nawet policji chciał pokazać, że nikt go nie złapie, że nikt go nie pokona. Uciekał jak oszalały, bał się schwytania, bo wiedział, czym to grozi. Narozrabiać się nie bał, ale konsekwencji tak. Wielki bohater zastraszający innych i wielki tchórz, nie umiejący ponieść odpowiedzialności za to, co zrobił. Uciekał przez całe miasto, chował się w parku. Chciał zmylić policję, no i udało mu się. Ale co z tego, że uciekł przed policją, która w międzyczasie zawiadomiła pogotowie ratunkowe, że na pewno zgłosi się taki jeden z raną szarpaną do szycia. Na pogotowie się sam nie zgłosił, ale przyleciał do mnie do domu z wielkim wrzaskiem, wystraszony jak nie wiem kto. Była to prawie noc, ja, przerażona, próbowałam tamować krwotok z okaleczonej ręki. Krzyczał na mnie, że mam się nie wtrącać do niczego, tylko zawinąć mu rękę i siedzieć cicho. Tak też zrobiłam: założyłam gruby opatrunek na ranę, próbowałam go uspokoić i przemówić do rozsądku, że w końcu się wykrwawi. Nie wiem, po jakim czasie zasnął, a ja zadzwoniłam po pogotowie, bo w końcu ja byłabym karana, że nie zareagowałam odpowiednio. Gdy przyjechali, zaczął wrzeszczeć na wszystkich, żeby się wynosili, bo bał się, że zaraz za nimi zjawi się policja. Sanitariusze go w końcu uspokoiли i zabrali na pogotowie. Rana okazała się bardzo głęboka, a na dodatek rozerwana była tętnica i trzeba go było zabrać do szpitala. Tam był tylko kilka godzin, dzwonił do mnie, że mam przyjechać po niego taksówką. Żadne prośby nie pomogły. Wypisał się na własne żądanie i tak przyjechał ze mną do domu. Bał się tylko, żeby policja go nie zamknęła. A ja, głupia, zamiast go od razu wywalić, lito wałam się nad nim, pomagając mu we wszystkim. Potem i tak kłamał, że go własny pies pogryzł i musiał mieć szytą rękę. Gdzie ja miałam oczy!

Jak teraz na to wszystko patrzę z perspektywy czasu, to ja się go już przed ślubem bałam. Nikomu tego nie mówiłam, myśląc, że się zmieni, gdy zobaczy, że komuś robi tyle kłopotu, że ktoś przez niego cierpi. Nie doczekałam się. Całe jego życie to była walka z innymi i pokazywanie, że on tutaj rządzi. Wystarczyło, że spojrział tym swoim wzrokiem, a już każdy ustępował z drogi. Zawsze pierwszy zaczynał atakować, tak na wszelki wypadek, żeby nikt już potem się go nie cze piał. Wspaniale potrafił się asekurować. Na poczekaniu potrafił wymy ślić kontrę. Nigdy spokojnie nie potrafił wytłumaczyć, jego obroną był

zawsze atak. No i niestety tak było: kto spojrział na niego, machnął ręką, pomyślał swoje i albo odszedł, albo udawał, że się nic nie stało. Kiedyś w Polsce zachowywał się tak skandalicznie, że musiałam zadzwonić na policję. Był tak agresywny, że myśleliśmy, że nas pozabija. Policja go zabrała i przesiedział w areszcie całą noc. Po tym zajściu dopiero się na nas mścił, a było to kiedy mieszkaliśmy jeszcze z moją mamą. Mąż zawsze uważał, że matka mnie przeciw niemu buntuje, a ona przecież tylko walczyła o swoje prawo do normalnego życia. On nie miał żadnego prawa tyranizować i wyzywać mojej mamy. Obrażał ją tak samo, codziennie, jak mnie. To, co robiła, to była tylko jej obrona. Bała się coś na zięcia powiedzieć, bo wiedziała, czym to grozi. Tak jak ja, wołała się nie odzywać. Milczała i płakała, czekając na lepsze czasy. Pamiętam, coś mi się nie podobało, gdy byłam w ciąży, więc zwróciłam mu uwagę, ale nie opłaciło się. Zaczął mnie kopać, wyzywać od najgorszych. Były to słowa, które przez normalne usta nie umieją wyjść. Jemu natomiast wychodziły śpiewająco. Bez wstydu i litości, wrzeszczał jak opętany na ciężarną żonę. Zamiast otoczyć mnie w tym czasie spokojem, urządził mi piekło. Przecież nosiłam pod sercem jego syna. Już wtedy nie dbał o nas. Wyzywał, krzyczał, groził, zastraszał, że jeszcze raz się odezwę, to zobaczę. Ja miałam cykora, a czemu się dziwić: w ciąży, w której nie czułam się też najlepiej, w domu tylko wrzaski i strach, jedynym moim wyjściem było nie odzywanie się. Tak też robiłam, żeby donosić ciążę i urodzić zdrowe dziecko. Jemu nie zależało, czy dziecko urodzi się zdrowe czy nie, on o tym nigdy nie pomyślał. Dzięki Bogu, urodziłam zdrowego syna, a on oczywiście uznał to za wyłącznie swoją zasługę. Gdyby było coś nie tak, to ja byłabym wszystkiemu winna. Bardzo byłam wdzięczna Bogu, że wszystko dobrze poszło, ale on to przypisywał tylko sobie. Opowiadał bzdury, że gdyby nie on, rozwiązanie nie poszłoby dobrze. W ogóle się nie odzywałam w tej kwestii, bo szkoda było słów. Już od początku pokazywał te odchyły, ale ja ich na początku nie zauważałam.

Wracając myślami i wspomnieniami do czasu przedmałżeńskiego, to dziwię się sama sobie, że byłam taka nierozsądna, taka głupia taka naiwna. Jak mogłam mu we wszystkie brednie uwierzyć, nie wiem dlaczego. Przecież należę do ludzi raczej inteligentnych, odczytanych, a mimo tego dałam się tak skołować. Nie, takiego życia nie chciałam,

takiego życia nikt by nie chciał. Prawdę mówiąc, wcale nie miałam zamiaru tak szybko wychodzić za mąż, ale złożyło się na to kilka przyczyn, że w końcu powiedziałam tak. Już przed ślubem nie miałam nic do powiedzenia, już przed ślubem byłam zastraszana, już przed ślubem bałam się powiedzieć nie. Otumaniał mnie dokładnie obietnicami i kłamstwami. Za wszelką cenę chciał się zaraz żenić. Przecież on mnie w ogóle nie znał ani ja jego. Kiedy mówiłam, po co taki pośpiech, błagał mnie, że jak się nie zgodzę, to popełni samobójstwo. No i faktycznie się tego trochę wystraszyłam, proszę mi wierzyć. Bałam się obciachu w moim małym miasteczku. Bałam ludzkich języków. On mógłby to zrobić. Prawdę mówiąc, nie podobały mi się te jego dziwne słowa, te dziwactwa, ale myślałam, że przy mojej pomocy będzie chciał się zmienić. Nie, on nie chciał się zmienić, zastraszając dodatkowo wszystkich naokoło. Wreszcie trafił na mnie, na głupią, niedoświadczoną góralkę, która dawała ze sobą robić to, co chciał. Ja naprawdę czułam coś do niego i dlatego na to wszystko pozwalałam. On to też zauważył i dalej szalał, bez zastanowienia ubliżał, kłamał, ranił, bo wiedział, że i tak mu wybaczę. Jemu od początku nie zależało na rodzinie, na wzajemnym zrozumieniu, on chciał kosztem rodziny używać sobie życia. Rodzina miała mu służyć i być na każde jego zawołanie. Od początku był wpatrzony w siebie jak narcyz. Nikogo wokół siebie nie widział. Szukał azylu, aby się schronić kiedy narozrabiał i kiedy potrzebował pomocy. Gdy wszystko znowu było OK, rodzina odskakiwała na tor boczny. Ale po co tak robił? Czy po takim zachowaniu nie mógł się spodziewać, że w końcu jego najbliżsi odwrócą się od niego?

Wychodząc za mąż nie przypuszczałam, co mnie czeka. W moim otoczeniu nie spotkałam takiego kogoś, że mogłabym pomyśleć: uważaj, bo taki los może stać się i twoim udziałem. Pewnie, że znałam sąsiadów, gdzie nie było za cukierkowo, w mojej rodzinie też nie było idealnie, ale żeby dochodziło do takich skrajnych scen jak u nas – nie, nie byłam sobie w stanie wyobrazić, że będę kiedyś coś takiego przeżywać. Naiwnie myślałam cały czas, że zmadrzeje po ślubie i się zmieni. Bałam mu się powiedzieć „nie”, bo już wtedy pomyślałam, że zrobi mi taką samą demolkę jak w kawiarni. Taką byłam idiotką, bałam się go już wtedy, a wychodziłam za niego za mąż. Dodatkowo bałam się wstępu przed sąsiadami, mieszkaliśmy już razem przed ślubem trzy miesiące

i nieraz myślałam że jak teraz powiem „nie”, to dopiero będą gadać. Kilkanaście lat temu w Polsce w małych miasteczkach panowało zaco-fanie i ciemnota, każdy zwracał na każdego uwagę. No i ja też wołałam cierpieć, niż słuchać ludzkiego gadania. Przecież ja go w ogóle nie zna-łam, owszem z tej gorszej strony. Potrafił się cudownie maskować, wy-śmienicie grać. Niestety nie pomyślałam, że to potem na całe życie. Następną przyczyną, dlaczego zgodziłam się tak szybko nałożyć ob-rączkę na palec, były głębokie przekonywania mojego przyszłego, że powinnam się zastanowić, bo wszystkie prawie koleżanki powychodziły za mąż: „Nad czym ty się zastanawiasz” – mówił. Miał ogromną siłę przekonywania ludzi. Ja też ten bajer łyknęłam. Z jednej strony on na-glił, z drugiej strony gadanie starych bab, że szybko trzeba wychodzić za mąż, bo można zostać starą panną. Nie miałam się kogo poradzić, z kim porozmawiać (moja mama była w tym czasie w Niemczech i za-rabiała na moją przyszłość). Byłam trochę zamknięta w sobie i wsty-dziłam się obcych poradzić. On nie chciał o czekaniu słyszeć. Chciał się szybko ożenić, żebym się przypadkiem nie rozmyśliła, żebym mu nie uciekła. Czuł pieniądze, a takiemu materialistcie jak on, tylko to było w głowie. Jak patrzę teraz na to wszystko, to gdy żenił się ze mną, podobały mu się tylko pieniądze, które moja matka zarabiała na zachodzie. Nic innego nie miało dla niego znaczenia. Pomyślał – będzie dobrze. Po paru latach, gdy mieliśmy kryzys finansowy, bez pytania zabrał nasze obrączki ślubne i sprzedał. Dla mnie był to koniec małżeństwa. Nikomu nic nie mówiłam, ale wiedziałam, co będzie. I wcale się nie pomyliłam, to był początek końca. On twierdził, że musi tak zrobić, bo umrzemy z głodu. W ogóle tak tragicznie nie było. Jak zwykle wszystko wyol-brzymiał. Zawsze uważałam, że takiego czegoś nie powinno się robić. Ale mąż wolał mieć pieniądze w palcach niż symbol małżeństwa na palcu. Dla niego to małżeństwo nie miało od początku żadnego znacze-nia, Chciał tylko przed ludźmi pokazać, że jest żonaty i ma kogoś. Traktował mnie jak rzecz. I tak przez własną durnotę i naiwność wpa-dłam w sieć jak mucha. Wpadłam w łapy tyrana i despoty, człowieka bez serca, bez skrupułów. Nie widziałam tych jego wad od razu, prze-cież przed decyzją nie można przewidzieć następstw. No i właśnie ja tego nie przewidziałam.

Zapewniał mnie, że takiego dobrego człowieka jak on, to nigdzie w życiu nie znajdę, i naprawdę się nie pomylił. Bo żeby taką osobę zna-

leżć, to musiałabym kilkakrotnie obejść równik. A i nawet nie wiem, czy takiego kłamcę bym znalazła. Bił wszystkich bez wyjątku w opowiadaniu nedorzeczności i bzdur. Nieczęsto rodzą się tacy ludzie. Ja akurat miałam to „szczęście”, że go poznałam. A może nie potrafiłam go należycie docenić? Może istotnie był to wartościowy człowiek? Może się tyle lat myliłam? Może naprawdę wyrządzałam mu wielką krzywdę? Moja opowieść mówi, że chyba nie. Zresztą każdy czytający będzie miał o tym całym związku swoje zdanie. Każdy ma prawo pomyśleć, co chce. Ja opisuję swoje przeżycia i swoje odczucia. Opisuję historię mojego życia, widzianą moimi oczami. Opowiadam swoje smutne dzieje. Nie mogłam dalej milczeć, patrząc na to, co się działo koło mnie. Więc postanowiłam to wszystko opisać. Chciałam wszystkim powiedzieć, jak było naprawdę.

Mój mąż wychowywał się w małej wiosce w pobliżu dużego miasta. Można powiedzieć – ciemnota i zacofanie, co sam potwierdził. Przygotowanie do życia miał żadne. Nie przekazano mu w domu wskazówek, jak ma żyć. Wyrastał w atmosferze plotek, kłamstw, bezsensu i poniżania innych. Bawiło go robienie ludziom krzywdy. Nad psem potrafił się litować, a na człowieka warczał. Nie miał serca dla innych od najmłodszych lat. Potrafił litość pokazywać, ale tylko na niby. Jak on potrafił pięknie płakać i szlochać na pokaz! Ach, jaki on był dobry, grał jak najlepszy aktor od najmłodszych lat. No i to aktorstwo zostało mu na całe życie. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, brzydki też nie był, mógł się podobać. Ubierał się nienajgorzej, raczej ciuchy młodzieżowe, mógł zawrócić w głowie. Ale, prawdę mówiąc, na takie bajery to za dużo dziewcząt z miasta nie dałoby się nabrać. On, chyba znając siebie, zaczął szukać ciemnej i niedoświadczonej dziewczuchy, na dodatek zapachniały marki niemieckie, więc wszystko pasowało. Nic nie stało na przeszkodzie. Ja, sama w domu, nikogo się nie poradziłam, słuchałam tylko jego argumentów; widział, że się go boję i poszedł na całość. Dodatkowo – myślał – z teściową, która jest na zachodzie, też sobie da radę, więc na co czekać. Naglił do ślubu, jakby to była ryba, którą trzeba w tym samym dniu zjeść, bo się zepsuje. Nie chciał czekać ani dnia z decyzją. Postanowił ożenić się z pachnącymi z oddali pieniądze. On postanowił i koniec. Ja nie miałam nic do gadania. Sam za mnie odpowiadał, że chce. Zaraz potem pojechał do matki po pierścio-